

Cezary Harasimowicz

Admirałskie saboty

Mama i tata musieli wyjść do pracy. Mirek został sam, bo jeszcze miał katar i pani doktor powiedziała, że do przedszkola pójdzie od poniedziałku. Mirek lubił zostawać sam w domu, kiedy miał katar, bo robił wtedy to, co chciał, oprócz oglądania telewizji. Tata umiał tak jakoś wyłączyć telewizor, że ekran milczał jak zaklęty. Ale po co telewizor, jeśli można sobie wyobrazić, że jest się kapitanem statku, stanąć przy oknie jak na mostku i płynąć hen daleko przez wzburzone fale. Tata wiedział, że kiedy w domu nie ma ani jego, ani mamy, to Mirek staje się zakatarzonym kapitanem statku i dlatego żegnał się z synkiem takim oto rozkazem: „Ahoj! Do zobaczenia, panie kapitanie. Ja, pański dowódca, admirał, życzę miłego i spokojnego rejsu. Proszę prowadzić łajbę bezpiecznie! Jak dobije pan do portu wieczorem, zda mi pan dokładny raport!”. I kiedy tata i mama wracali po pracy, Mirek zdawał raport z rejsu, który zawsze kończył się bezpiecznie. Ale tego dnia było niestety zupełnie inaczej. Tata rozkazał:

– Panie kapitanie, jest pan już doświadczonym wilkiem morskim. Nie pierwszy raz wyrusza pan w rejs. Dlatego proszę wreszcie posprzątać swoją kajutę, kiedy nas nie będzie. To admirałski rozkaz. Prawdziwy marynarz nie może mieć takiego bałaganu, bo to źle o nim świadczy. Jeśli wykona pan zadanie, kapitanie, awansuję pana na stopień komandora. Jeśli się na panu zawiodę, zdegraduję pana i będzie pan majtkiem pokładowym.

Majtkiem! Jakie okropne słowo! Gdyby Zbyszek Cichocki ze starszaków dowiedział się, że Mirek jest jakimś „majtkiem”, biegłby po całym przedszkolu i go przezywał. Tak, Zbyszek Cichocki ze starszaków potrafił okropnie przezywać... Kiedy drzwi zamknęły się za tatą i mamą, kiedy zamek nieuchronnie zgrzytnął, jakby chciał powiedzieć „Rrruszaj do rrrroboty, Mirrrek!”, kapitan spojrzał na kajutę i się załamał. Pokój, to znaczy kajuta, była tak zabałaganiona, jakby przeszedł tajfun, jakby statek przepłynął przez potworny sztorm. Jak w tej sytuacji Mirek mógł uniknąć degradacji? „Na pewno sobie z tym nie poradzę” – myślał, patrząc zrezygnowanym wzrokiem na środek pokoju, na którym piętrzyła się wielka góra. Ha, gdyby to była góra lodowa, to nie jeden statek mógłby się o nią rozbić i pójść na dno. Na szczęście to nie góra lodowa, a kupa książek, klocków Lego, pluszaków, warcabów, trzech innych gier, kilkunastu resoraków, wielkiej żółtej koparki rozłożonej na części, wywrotki z urwanymi kołami, wyścigowca, takiego, jakim jeździ Kubica, i masa różnych innych zabawek. Mirek już sam nie pamiętał, do jakiej zabawy miały służyć. No, ale „góra lodowa” to tylko jedna przeszkoda na drodze do awansu na komandora. A koja, to znaczy łóżko?! Nieposłane. A ścinki po kolorowym papierze? A nieporządek na półce z kolekcją dinozaurów?! A rozlany syrop na parapecie? No, rzeczywiście, tak nie wygląda kapitańska kajuta. Chyba że po przejściu sztormu...

Mirek stanął zasmucony nad „górami lodowymi”. „Nie ma mowy, aby ją wyminąć. Nigdy nie robiłem tego sam, a więc jak teraz miałbym dać radę?!” – myślał, wyciągając z góry wyścigowca, takiego, jakim jeździ Kubica. Potrzymał go przez chwilę w ręku i odłożył na czubek hałdy. Wyjął wywrotkę, bo wydawało mu się, że to

wywrotka robi najwięcej bałaganu, ale natychmiast ją odrzucił, bo przecież to książki były winne. Nie! Nie książki, tylko klocki Lego! Po kilku nieudanych próbach katar ciekący z nosa Mirka zrobił się jeszcze bardziej nieznośny i wtedy Mirek uznał, że właściwie jest chory i nie będzie się zajmował sprzątaniami swojego pokoju. To było ponad jego siły, nie wierzył, że taki kapitan jak on jest w stanie wykonać to zadanie. Tata chyba go przecenił. „Zresztą to całe udawanie statku i kapitana jest bez sensu” – pomyślał i położył się na łóżku z buzią wtuloną w poduszkę. Poduszka robiła się coraz bardziej mokra i mokra...

– Ahoj, kapitanie! – Obok koi stał jakiś sympatyczny jegomość z siwą brodą, ubrany w koszulkę w granatowe paski, w marynarskiej czapce na głowie. – Dlaczego, do stu tysięcy kotwic, pan płacze, panie kapitanie?

– Nie..., ja nie płaczę... – odpowiedział niepewnie Mirek. – Mam katar.

– Akurat. Przecież widzę, panie kapitanie. Czy mogę znać przyczynę pana kłopotu? Proszę się nie martwić. Jestem tu po to, żeby wyprowadzić pana na spokojne wody – ciągnął człowiek z siwą brodą i wytatuowaną kotwicą na ramieniu.

– Kim pan jest? – spytał ostrożnie pan kapitan.

– Nie poznaje pan swojego bosmana? Bosman Zaradnicki. Czekam na rozkazy.

– Aha – bąknął pan kapitan. – Właśnie... Rozkazy... Panie bosmanie... Dostałem rozkaz z góry... Z samej góry... Mam zrobić porządek w swojej kajucie. Jeśli nie wypełnię tego rozkazu, zostanę zdegradowany.

Mirek nie przyznał się, że groził mu stopień majtka, bo przecież nie wiadomo, czy bosman Zaradnicki nie zna Zbyszka Ci-



chockiego ze starszaków... Tymczasem bosman rozejrzał się po pokoju i mruknął:

– Rzeczywiście. Pana kajuta wygląda, jakby statkiem rzucała dziesiątkę w skali Beauforta. W takim bałaganie nie da się dowodzić tą piękną łajbą. Głupio by było pójść na dno.

– Właśnie – przyznał pan kapitan i pomyślał, że jeszcze głupiej by było pójść na dno, będąc majtkiem.

– No, to trzeba się wziąć do sprzątanía, panie kapitanie. Niestety nie mogę panu pomóc, bo mam swoje obowiązki na pokładzie – rzekł basem bosman Zaradnicki.

– Ale... – zaczął niepewnie pan kapitan – bosmanie Zaradnicki, wstyd się przyznać... Ja nigdy jeszcze nie sprzątałem swojej kajuty. Nie umiem tego robić...

– Do stu tysięcy bałwanów morskich! Jakżeż to możliwe?! – zahuczał jak sztorm bosman Zaradnicki.

– No... Zawsze to robi moja... – pan kapitan ugryzł się w język, bo głupio mu było się przyznać, że kapitańską kajutę sprzątała mama pana kapitana. Albo tata.

– Hm – chrząknął bosman. – Rozumiem, że to jakaś morska tajemnica. – Bosman Zaradnicki przyjrzał się uważnie kapitanowi. – Proszę mi wybaczyć, kapitanie, ale wydaje mi się, że pan po prostu nie wierzy w siebie.

– Tak – odrzekł najszczerzej na świecie kapitan. Czuł się zupełnie tak jak wtedy, gdy miał samodzielnie przygotować rysunek przedstawiający drogę z przedszkola do domu. To było straszne. Tata co prawda powtarzał mu wtedy, że dobry kapitan powinien potrafić samodzielnie wykonać mapy i plany swoich podróży, że bez tego trudno poradzić sobie na morzu, ale Mirek nie dał się przekonać. Nie spał chyba ze trzy noce i w końcu mama musiała

mu pomóc. W przedszkolu praca bardzo się spodobała, tylko Mi-
rek trochę się wstydził, że nie zrobił jej sam...

– Do trzystu tysięcy tajfunów, to jak pan kapitan doprowadzi
nas do portu, jeśli zerwie się morska nawałnica?

– Właśnie – przyznał pan kapitan i wytarł katar w rękaw,
a właściwie bardziej łyż niż katar.

Bosman się zasępił. Jeszcze raz łyknął na bałagan w kajucie
i sapnął:

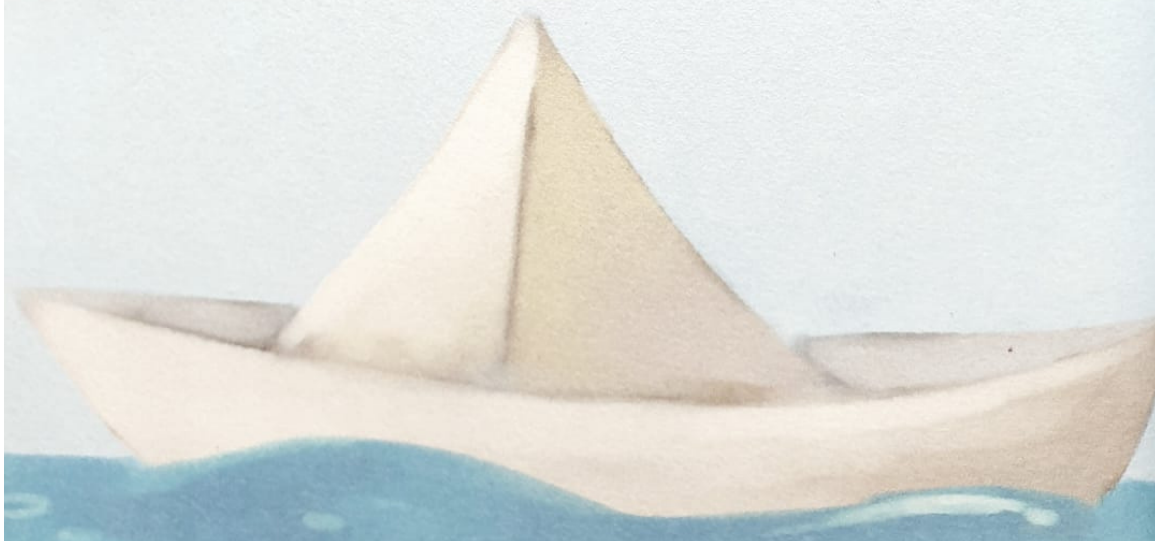
– Jest na to stara marynarska rada.

– Jaka?! – ucieszył się pan kapitan.

– Admiralskie saboty...

– „Admiralskie saboty”? – zdziwił się pan kapitan. – A co to
znaczy „saboty”?

– To znaczy buty, marynarskie buty. Buty, w których chodzi
lub chodził admirał, nazywają się „admiralskie saboty”, panie ka-
pitanie. Widziałem w korytarzu prawdziwe admiralskie saboty.





– No i co z tego? – spytał Mirek, wiedząc, że bosman Zaradnicki mówi o butach taty, które stoją w przedpokoju obok wieszaka.

– A no to, iż stara marynarska legenda głosi, że gdy marynarz nie wie, jak ma sobie z czymś poradzić, to jeśli włoży buty, to zna czy saboty wyższego stopniem, mądrzejszego marynarza, umiejętności tego bardziej doświadczonego przejdą na mniej doświadczonego.

– Ale... – zaczął niepewnie pan kapitan, bo ciągle nie wierzył w siebie. Bosman jednak przerwał mu nieregulaminowym rozkazem:

– Proszę natychmiast włożyć admirałskie saboty i spróbować posprzątać, do dwustu tysięcy przyjaznych delfinów! Nie ma żadnego „ale”, panie kapitanie! Admirałskie saboty na nogi i do roboty!

Mirek bez słowa poddał się nieregulaminowemu rozkazowi bosmana i pobiegł do przedpokoju.

Kiedy wsunął stopy w buty taty, stała się rzecz niesamowita. Mirek poczuł się jak tata, to znaczy pan kapitan poczuł się jak prawdziwy admirał. Natychmiast przypomniał sobie, jak tata radzi sobie z bałaganem, to znaczy, jak pan admirał potrafi fantastycznie układać książeczki na półce...

Trwało to jakiś czas, pokład trochę się chybotął na falach, ale niespecjalnie przeszkadzało to w kapitańskich porządkach. Oczywiście! – miejsce wyścigówki, takiej, jaką jeździ Kubica, koparki i wywrotki (ha! pod koją znalazły się urwane kółka) było pod półką z dinozaurami. Tata, to znaczy pan admirał, ustawiał dinozaury od największego argentynozaura do najmniejszego parwikursora. Jakie to proste, a jak fajnie wygląda! Klocki można wrzu-

cić do pudełka ze znaczkiem „Lego” i w ogóle ich nie widać... No, nie było wszystkich pudełek od gier, ale jeśli się je równo ułoży z pudełkiem od warcabów, to wygląda całkiem, całkiem. Co z pluszakami? To samo co z dinozaurami! Od największego do najmniejszego. Od miśka Lulka do myszki Zizi... Stoją już równiutko pod oknem. Tak jak resoraki na regale. O, jeszcze ten ślad po syropie trzeba sprzątnąć z parapetu. Jak to robi mama? Zaraz, zaraz, ale czy mam włożyć buty mamy, żeby tak jak ona zetrzeć mokrą gąbką brud z parapetu...?

Mirek spojrział na stopy. Nie było na nich „admiralskich sabotów” taty. Spadły w trakcie robienia porządków. A jednak...

– Ha, ha, ha! – huczał ze śmiechu bosman Zaradnicki.

– Proszę się nie śmiać, bosmanie! – rozkazał pan kapitan. – Gdzie są admiralskie saboty?!

– Zgubił je pan, kapitanie!

– To jak zrobię porządek w kajucie?!

– Do pięciuset tysięcy sztormów! Już pan go zrobił! Już pan w siebie uwierzył! Buty admirała nie są do tego potrzebne. – Bosman wskazał admiralskie saboty leżące na środku kajuty.

– Kiedy je zgubiłem?

– Zaraz na samym początku akcji. Podczas sprzątnięcia tego wyścigowca, którym jeździ Kubica – odrzekł bosman Zaradnicki.

– I uwierzyłem, że mogę być jak... jak... admirał... Mimo że nie miałem na nogach jego sabotów? – spytał pan kapitan.

Bosman Zaradnicki uśmiechnął się, pogładził dłonią siwą brodę i rzekł:

– Admiralskie saboty to tylko taka marynarska sztuczka. Ot, żeby się przekonać, że nawet majtek potrafi być jak admirał. Trzeba w siebie wierzyć! Można to zrobić nawet bez sabotów!

– Aha – odpowiedział pan kapitan i odniósł admirałskie saboty do korytarza. Chyba pojął słowa mądrego bosmana Zaradnickiego, bo ustawił wszystkie buty, mamy także, w równym rzędzie, myśląc: „Szkoda, że nie wiedziałem tego wszystkiego wtedy, gdy przygotowywałem pracę do przedszkola. Na pewno też sam bym sobie z nią poradził!”.

Kiedy pan kapitan wrócił do kajuty, bosmana już nie było. Pewno wezwały go bosmańskie obowiązki na pokładzie. Pan kapitan położył się na równiutko zaścielonej koi, wytarł nos i czuł, jak łajba lekko się unosi na falach, płynąc całą naprzód w stronę portu...

– Panie kapitanie... – Tata pochylił się nad panem kapitanem, który smacznie spał po skończonej wachcie. – Mianuję pana komandorem. Wykonał pan zadanie jak się patrzy.

– Dziękuję, panie admirale. Według rozkazu – odpowiedział Mirek i płynął dalej na swojej łajbie, stojąc pewnie na kapitańskim mostku przy sterze.



Bajka pochodzi z książki
"Bajkoterapia"
czyli bajki - pomagajki dla małych
i dużych.

